

Mikołaj Wierzbicki czekał na autobus. Głośno siorbiąc, wciągnął przez słomkę ostatnie krople soku, zgniótł kartonik i cisnął do śmietniczki. Nie trafił. Jeszcze i to! Wściekły, podszedł i podniósł pudełko. Wrzucając je ponownie do kosza, zarejestrował kątem oka skierowany ku sobie, z lekka ironiczny uśmiech przechodzącej obok dziewczyny. Drobniuśka szatynka o długich włosach, wyglądająca na dwanaście lat, nie zatrzymała się przy wiacie, tylko minawszy ją, dziarsko pomaszerowała dalej. Właściwie dokąd? Tam nie było żadnych bloków, jedynie ogródki działkowe, odludna okolica, powszechnie uważana za niebezpieczną. Dla Mikołaja, choć to tylko dwa przystanki od domu, prawie terra incognita. Inne osiedle, obcy ludzie, teren cudzych wpływów. Od dziś miał go dwa razy dziennie przemierzać w drodze do gimnazjum. Ale raczej nie wpadłby na pomysł, aby chodzić tamtędy na piechotę!

Wreszcie podjechało 520. Mikołaj wszedł i z dumą przesunął przed czytnikiem kasownika swoją nowiutką kartę miejską: WAŻNA DO: 30 XI 2002. Dziś, drugiego września, aktywowanie tej karty było jedyną fajną rzeczą, jaka mu się przydarzyła. O innych wolałyby jak najszybciej zapomnieć. Autobus ruszył. Mikołaj wyrzwał przez okno, chcąc zobaczyć, dokąd zdołała dojść dziewczyna. Nigdzie jednak jej nie dostrzegł. Wsiadając na swoim przystanku, już o niej nie pamiętał.

Jolantę Wierzbicką od progu zaniepokoił wyraz twarzy młodszego syna. Nie przyznając się do swych obaw, zapytała z uśmiechem:

- No i jak tam nowa szkoła?
- Wiocha! - odpowiedział zdawkowo, odepchnął ze złością Hopcię szczerzącą na powitanie i poszedł do kuchni. Nalał sobie coli, usiadł przy stole, a potem długo wpatrywał się w pękające na powierzchni napoju bąbelki.
- No, ale... - kluczyła matka, bojąc się zapytać o szczegóły. - Aż tak źle?
- Żle?! Gdyby było źle, można by to jeszcze jakoś przełknąć. Jest fatalnie! Tragicznie!
- To dopiero pierwszy dzień... - próbowała go pocieszać.
- Właśnie! Ze strachem myślę, co może być dalej!
- Dlaczego od początku się uprzedzasz?
- Nic nie rozumiesz! Oni się nie śmieją, oni rechoczą! Wszyscy ostrzyżeni na zero!
- Dotrzecie się jeszcze.
- Na garnitur mówią garniak! W spodniach w kant i marynarce wyglądałem przy nich jak UFO! Co ci w ogóle wpadło do głowy, żeby mnie tam zapisywać?!
- Nic nie rozumiem. - Zdumiona matka z trudem znajdowała słowa. - To najlepsze gimnazjum w dzielnicy...
- Z Michałem się nie udało i teraz ze mnie próbujecie zrobić geniusza?!
- To miało ci tylko ułatwić start.

– Ktoś was prosił?! Zainteresowaliście się w ogóle, czego ja chcę?!

Dopił colę i wyszedł z kuchni, zostawiając matkę skonsternowaną. Zniechęcony, zamknął się w swoim pokoju. Panował tam swojski klimat: tapczan był niepościelony, brudne ciuchy z kilku dni wały się na podłodze, a puste butelki po sokach i papierki po batonach czekały, by wymiotło je tornado.

Zdjawszy galowy strój szkolny, Mały rzucił go niedbale na łóżko, przebrał się w T-shirt i dżinsy, złapał deskorolkę i trzasnąwszy drzwiami, wybiegł odreagować stres.

*

Michałowi, starszemu bratu Mikołaja, ten dzień nie przyniósł żadnych niespodzianek. Z lekkim sercem oraz poczuciem, że świat kręci się wokół niego, szedł wesoło ulicą Międzyborską. Chociaż koniec wakacji raczej nikogo nie nastraja optymistycznie, Michał nie szukał dziury w całym. Wyznając zasadę, że najprzyjemniej płynie się z prądem, nigdy nie zawracał sobie głowy drobiazgami. Rozpoczęcia roku szkolnego oczekiwał zrelaksowany. Czemu miałyby być inaczej? Jego pozycja w liceum była niezachwiana, a opinia kogoś, kto poradzi sobie w każdej sytuacji i zawsze jakimś cudem wykaraska się ze wszystkich kłopotów, znacznie ułatwiała mu życie. Koledzy go lubili, nauczyciele tolerowali. Superukład. Szczególnie na dwa lata przed maturą.

Michał przeczuwał, że ten rok może być najbardziej owocny w jego karierze. Nie dlatego, że snuł plany jakichś odkryć naukowych czy rozważał wzięcie udziału w konkursach i olimpiadach przedmiotowych. Nie. Zamierzał przetrwać trzecią klasę liceum bez zbędnych nakładów energii, na luzie, z szeroko zakrojonym programem kulturalnym. Zwłaszcza piątkowe wieczory w Harendzie zapowiadały się interesująco. Co prawda do osiemnastki zostało mu jeszcze jedenaście miesięcy, ale przy wzroście niepokojąco zbliżającym się do dwóch metrów nikt go jakoś nigdy nie próbował legitymować na bramce.

Podążał więc ulicą całkowicie wyluzowany. Po burzliwych wydarzeniach ubiegłego roku Michał pragnął jedynie tego. Jego liceum stało wciąż w tym samym miejscu: Międzyborska, róg Cyraneczki. Niespodziewanie ucieszył go ten widok. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak czekał na koniec wakacji.

Ostatni tydzień ciągnął się w nieskończoność i Michał nie miał pomysłu, jak to przerwać. Koszykówka go nudziła, w telewizji dawali same powtórki, premiery kinowe miały pojawić się dopiero we wrześniu. Nie było po co wstawać rano, wylegiwał się więc do południa, potem siadał przy komputerze, sprawdzał, kto jest dostępny, i na Gadu-Gadu prowadził długie rozmowy o niczym. Nie protestował nawet specjalnie, gdy matka nieśmiało zaproponowała, by posprzątał swój pokój. Wreszcie miał zajęcie na pół dnia. Wieczorem zwykle brał Hopcię na smycz i w towarzystwie Kamila łąził godzinami wokół jeziora, opowiadając mu wciąż te same szczegóły najwspanialszego obozu: dwa tygodnie w Chorwacji bez rodziców, ich nudnych gadek, pragnienia spokoju i ciszy, dwa tygodnie chodzenia spać nad ranem, dwa tygodnie wygłupów, długich marszów brzegiem morza, szalonych dyskotek, skoków na główkę. Dwa tygodnie z Magdą.

I teraz, kiedy tak szedł ocienioną ulicą, myślał, że dziś Magda wróci z ostatniego wakacyjnego wyjazdu. Że znów przyjdzie do niego szczęście. Uśmiechnął się, czując błogość, która falami cudownego ciepła rozlała się po całym ciele.

Przychylnie usposobiony do świata, gotów był lubić szkołę nawet w tym najtrudniejszym dla wszystkich uczniów dniu.

*

Zacięta mina Mikołaja nie uszła uwagi kolegów. Skupiony na wykonywaniu *backside kickflipa* z czterech schodków, nie powiedział ani słowa o nowej klasie. Zresztą nikt nie przyszedł tu na gadanie. Skakali ze zmiennym szczęściem, niewiele mówiąc, pocierając rozbite kolana i popijając wodę z butelek. Choć zbliżała się piąta, upał wciąż niemożliwie doskwierał. Spocony i brudny, Mikołaj usiadł na krawężniku. Mariuszowi też nie było do śmiechu. Chciał pogadać, bo mimo że został w starej szkole, nie czuł się wcale lepiej.

– Rozbili naszą klasę, wiesz? – zaczął bez wstępu.

– Jak to?! – przeraził się Mikołaj.

– Nie rozumiem. Komu przeszkadzało, żebyśmy zostali razem? – Mariusz pokręcił głową i splunął na chodnik. – Choler-na buda, znów się zaczęła!

Umilkli, myśląc zapewne po raz pierwszy, że coś się na zawsze skończyło.

„No super! Nawet nie mam dokąd wrócić!” – zasepił się Mikołaj. W myślach hołubił już śmiały plan zmiękczenia rodziców i powrotu do starej szkoły. Nie wiedział jak, ale gotów był na wszystko, obiecałby każde ustępstwo, gdyby było trzeba: ślanie łóżka rano, codzienne wnoszenie śmieci, a nawet – o zgrozo – kupowanie bułek na śniadanie! Prędzej czy później i tak sprawy ułożyłyby się po staremu. Zawsze tak było.

– Więc nie ma już naszej klasy? – powiedział na głos, bo wciąż nie mógł uwierzyć. – Myślałem, że po prostu zamiast szóstą „a”, będziecie teraz pierwszą „a”?

– Też tak myślałem! – burknął Mariusz i odszedł, kopiąc ze złością pustą puszkę po coli.

Mikołaj nagle poczuł się bardzo samotny. Spoglądał tępo na czubki swoich butów, na odklejającą się gumę i poprute szwy. Wreszcie wstał i ruszył za Mariuszem. Jeden, drugi, trzeci, czwarty schodek. Zatrzymał się i beznamiętnie spojrzął w dół. Zagryzł wargi. „Wszystko jest bez sensu” – pomyślał. Cztery czy czterdzieści, nie robiło to teraz na nim żadnego wrażenia. Rozpędził deskę i skoczył.

To byłby kolejny upadek. Zaliczał ich przecież setki i nigdy jakoś nic się nie działo. Nawet specjalnie nie poczuł bólu. Wszyscy się przewracali, normalka. Poboli i przestanie. Ale kiedy spojrzął na rękę, zrobiło mu się niedobrze. Prawa dłoń, którą podświadomie próbował zamortyzować upadek, była nienaturalnie wykrzywiona. Wyglądała, jak wykonana przez awangardowego rzeźbiarza, kpiącego sobie z zasad anatomii. Wtedy Mikołaj spanikował i nie myśląc o kolegach, zaczął wrzeszczeć. Owinąwszy nadgarstek dołem podkoszulka, ruszył biegiem do domu. Mariusz złapał jego deskę i pognał za nim.

Matka usłyszała przeraźliwy krzyk Mikołaja dobiegający z korytarza, zanim jeszcze zabrzmiał dzwonek. Zrobiło jej się sucho w ustach. Pełna najgorszych przeczuć, otworzyła drzwi.

– Złamałem rękę! – wycharczał Mikołaj nieswoim głosem. – Złamałem rękę!
Był brudny, spocony, dłoń wciąż trzymał zawiniętą, bojąc się na nią spojrzeć. Jolanta Wierzbicka usiłowała opanować nerwy.
– Spokojnie. Usiądź. Zaraz zawiozę cię na ostry dyżur. Boże, gdzie jest gazeta?!
Mikołaj, nie przestając się wydierać, zdezorientowany, wciąż stał w przedpokoju, matka zaś biegała chaotycznie po mieszkaniu, poszukując aktualnego wydania „Wyborczej”.
– Daj mi pić! – krzyknął zniecierpliwiony.
Nalała mu coli, a sobie wody.
– Jak to się stało?
– Nie wiem. Upadłem. Nie pamiętam.
– Niedobrze mi. Przepraszam! – powiedziała matka i wybiegła z kuchni, a on skupił uwagę na przepływających za oknem chmurach, bojąc się, że gdy puści złamaną rękę, ta rozpadnie się na kawałki, których nikt nigdy nie zdoła dopasować.

722 Wiatraczna

Zbliżała się ósma. Korytarz na piątym piętrze szpitala przy Szaserów wypełniali rozmaici połamańcy. Jedni szli sprawnie, inni kuśtykali lub skakali na jednej nodze, jeszcze innych przywożono na wózkach. Każdy, jak go los przyłapał, w brudnej, często poszarpanej odzieży, niemile zaskoczony, z grymasem bólu, niedowierzający, że to spotkało właśnie jego. Wszyscy nieodwołalnie lądowali w poczekalni na wprost gipsowni, by stamtąd, po pobieżnej konsultacji lekarskiej, zejść piętro niżej, gdzie poddawano ich prześwietleniu. Mikołaj trochę się dziwił, że tak mało go boli. Początkowe przerażenie ustąpiło. Trafił pod właściwy adres. Białe fartuchy lekarzy działały na niego kojąco.

„Więc to jest złamanie? – myślał. – Nic wielkiego”. Na wszelki wypadek jednak nie patrzył na rękę, a kiedy ułożył ją do prześwietlenia, nie pozwolił już niczego poprawić.

Gdy po raz drugi odczekali swoje i weszli ze zdjęciem na salę gipsową, lekarz nieco zbyt długo przypatrywał się kliszy. Potem powiedział beznamiętnie:

– Złuszczenie nadgarstka.

Zabrzmiało dość niewinnie i Mikołaj zaczął się nawet z ciekawością rozglądać po gabinecie.

– Ale co to w praktyce znaczy? – zapytała matka.

– To znaczy, kolego – lekarz zwrócił się wprost do Mikołaja – że musimy cię jakoś złożyć do kupy, prawda?

– No raczej.

– Kiedy ostatnio jadłeś?

– Wczoraj? – zastanawiał się Mikołaj.

– Jak to „wczoraj”?! – Jolanta Wierzbicka nie kryła zdziwienia. Poczula się osobiście dotknięta. – Wczoraj?!

- To dobrze – ucieszył się ortopeda.
 - Tylko piłem.
 - Kiedy?
 - Nawet teraz, na korytarzu.
 - Fatalnie. W takim razie musimy kilka godzin poczekać.
 - Na co? – Jolanta Wierzbicka nie rozumiała sensu tej wymiany informacji gastronomicznych.
 - Młody człowiek zostanie w szpitalu. Proszę zejść do izby przyjęć, założyć historię choroby, przebrać się i wrócić. – Spojrzał na zegarek. – Około pierwszej, myślę, będziemy gotowi i wtedy cię poskładamy – znów powiedział bezpośrednio do Mikołaja.
 - W środku nocy?!
 - Pora tak samo dobra jak każda inna, proszę pani.
 - Ale, panie doktorze...
- Matka próbowała się jeszcze czegoś dowiedzieć, lekarz wyczerpał chyba jednak swoje zasoby cierpliwości.
- Kolega przyjdzie do państwa, żeby załatwić formalności. Następny proszę!
- Szli korytarzem w milczeniu. Mikołaj trochę się zdenerwował. W dodatku ręka zaczynała go naprawdę boleć. Skończyły się żarty.
- No tak! – sapała matka. – A ojca, jak zwykle, nie ma! Boże, Mikuś, będę cię musiała zostawić w szpitalu!
 - Myślałem, że tylko założą gips. Co jeszcze będą robić?

*

W szpitalnych ciuchach, pobieżnie umyty, Mikołaj wrócił na oddział. Położył się na wskazanym przez pielęgniarkę łóżku w półmroku sali intensywnej terapii. Próbował zebrać myśli, ale dokuczliwy ból nie pozwalał się skupić. Ostre światło z korytarza kłuło chłopca w oczy, a jęki innych pacjentów denerwowały. Wciąż miał sucho w ustach, ale nie wolno mu było pić. Joanna Wierzbicka poprosiła lekarza o środek przeciwbólowy, lecz kiedy pielęgniarka przysłała z zastrzykiem, Mikołaj skłamał, że już go nie boli. Około wpół do jedenastej matka poszła do domu. Zwinięty w kłębek, rozbity i przerażony, Mikołaj czekał z utęsknieniem na operację, która miała mu przynieść trochę kojącego snu.

*

- Złamał rękę?! Którą?! – Michał nie mógł sobie darować, że wrócił do domu tak późno.
 - Prawą. I to w nadgarstku!
- Jolanta Wierzbicka usiadła wyczerpana na kanapie.
- Głupek! Jak zwykle nie wziął ochraniaczy?!
 - To moja wina! Ale wybiegł tak szybko. Był zły, bo nie spodobało mu się w nowej szkole.
 - Tyle razy mu mówiłaś, sam jest sobie winien!

- Jakie to straszne. Biedny Mały! Obiecuj mi, że przynajmniej ty nie będziesz już jeździł na deskorolce!

- Od kiedy złamałem dwie deski w ciągu kwadransa, i tak już nie jeżdżę.

Matka spojrzała na zegarek i westchnęła. Dochodziła północ. Wtedy zadzwonił telefon. Poderwali się oboje, ale Michał był szybszy. Wszedł ze słuchawką do swojego pokoju, zaraz jednak wrócił i oddał telefon matce.

- Tata dzwoni.

*

W odległym Grajewie, przy ulicy Krótkiej 6, w ładnym domu z ogródkiem, na piętrze, za zasłoniętą do połowy roletą, Marta Sadowska nie mogła zasnąć, przypominając sobie poprzedni pierwszy września i wszystko, co nastąpiło potem. A także – i te wspomnienia pieściła z największą czułością – to, co wydarzyło się jeszcze wcześniej: jak poznali się z Michałem pewnego wakacyjnego dnia, jak dzięki niemu jej rodzinne miasto stało się nagle najpiękniejsze. Jego wariackie zagrania w szkole wydawały się teraz niewinnymi igraszkami, a dramatyczny mecz koszykówki, gdy Grajewo wygrało z Warszawą – najwspanialszymi chwilami w jej życiu. I choć zawsze była raczej dobrze wychowana (albo sztywna, jeśli ktoś woli), darła się wtedy jak opętana. Krzyczała, bo to był akurat jedyny sposób, by pokazać, jak bardzo go kocha. Kibicowała jego drużynie, chociaż on, po niedawnym pobycie w szpitalu, siedział przecież obok niej.

A potem był sylwester i ostatni wspólny spacer w Nowy Rok. I choć Michał przyjeżdżał jeszcze później do Grajewa: podczas ferii, na ślub Andżeliki i Gwida, na dwa dni na Wielkanoc i na tydzień w lipcu, nigdy nie było już tak jak dawniej. Mimo maili, telefonów, mimo Gadu-Gadu stawał się coraz dalszy, obcy. Za każdym razem potrzebowała więcej czasu, by odnaleźć w nim dawnego Michała. Z lękiem myślała, że kiedyś wreszcie odległość pokona ich uczucia. Zwłaszcza ostatni tydzień był koszmarne: Michał, wciąż niedostępny, nie odbierał komórki, na esemesy odpowiadał zdawkowo albo wcale. Napisał, że gdzieś pracuje i ma mało czasu. Może. Pomagał przecież rodzicom, kiedy prowadzili stację benzynową pod Beldą, miał doświadczenie. Ona też pomagała matce w sklepie. Ale komórkę trzymała zawsze w zasięgu ręki. Najwyżej włączała alarm wibracyjny. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby zadzwonił, a ona nie mogłaby odebrać.

Ale Michał już od tygodnia się nie odzywał. Marta nie wiedziała, czym to tłumaczyć. Napisała maila, potem drugiego i trzeciego, żaden jednak nie doczekał się wysłania. Bała się pytać, ponieważ odpowiedź mogła być tylko jedna – on kogoś poznał.

*

Przez całą noc prześladowały go koszmary. Ciągłe się budził, bo mu się wydawało, że dzwoni Magda. Zrywał się z łóżka i łapał za telefon, by się przekonać, że to złudzenie. Marzenie, które uparcie nie chciało stać się rzeczywistością. Wracał do łóżka i znów zapadał w płytki sen. Wczoraj pod jej blokiem spędził pół dnia. Może gdyby był w domu, Mały nie złamałby ręki? A jednak nie umiał złościć się na Magdę. Czekał cierpliwie, na sto

sposobów udzielając jej rozgrzeszenia: na pewno jeszcze nie wróciła, odezwie się zaraz po przyjeździe. Umówili się przecież. Zostały z matką dłużej? W drodze powrotnej postanowiły skoczyć na dzień czy dwa do Londynu? Paryża? Nie wytrzymał już tego czekania. Wystukiwał numer jej komórki i odtwarzał do znudzenia głos Magdy nagrany na sekretarce.

*

W ułamku sekundy między przebudzeniem a otwarciem oczu Mikołaj był pewien, że wszystko mu się przyśniło. Wczoraj wcale nie zaczął chodzić do gimnazjum, nie skakał ze schodków, nie leży w szpitalu. Nadal był w szóstej klasie, zaraz będzie musiał wstać, bo już kwadrans temu dzwonił budzik i trzeba się ubierać do szkoły. Gotów byłby oddać za to nawet swoją przepustkę do świata dorosłych, wyrobioną kilka dni wcześniej nowiutką kartę miejską, której posiadanie napawało go taką dumą. Nie otwierając oczu, pociągnął nosem i w jednej chwili zrozumiał, że to nie koszmarny sen, a on już dawno skończył szóstą klasę. Ten zapach był nie do podrobienia. Jednak leżał na szpitalnym łóżku. Poruszył palcami i z radością zauważył, że są posłuszne jego woli. Gips trochę uwierał, ale dobrze, że już po wszystkim.

Za oknem świeciło. Trzeci września. Fajnie, że przynajmniej nie musiał iść do szkoły!

*

Prosto ze szpitala Jolanta Wierzbicka pojechała zawieźć zwolnienie Mikołaja. W miarę zbliżania się do gimnazjum jej bojowy nastrój ulatniał się coraz bardziej. W końcu zostało go tak niewiele, że kiedy weszła wreszcie do gabinetu dyrektorki, nie wiedziała właściwie, co chce powiedzieć.

– Mój syn, Mikołaj Wierzbicki, uczeń klasy pierwszej „g”, złamał wczoraj rękę – zaczęła ugodowo.

Ta wiadomość nie zrobiła jednak na pani dyrektor szczególnego wrażenia.

– Współczuję pani – powiedziała tylko, nie odrywając wzroku od planu lekcji.

– W tej chwili leży na ortopedii.

– Taaak? – padło beznamiętne pytanie.

„A gdyby tak wykorzystać tę chwilę nieuwagi i zaatakować?” – pomyślała zdesperowana matka i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– I chciałabym go przenieść do innej klasy!

– Rozumiem – wysapała dyrektorka, ale naprawdę zrozumiała chyba dobrych kilka sekund później, kiedy wreszcie podniosła oczy i pierwszy raz całkiem przytomnie spojrzała na swego gościa. – Co więc panią sprowadza?

(...)